

Time of my life na zawsze

W rankingach najbardziej kłopotliwych tłumaczeń tytułów filmowych „Wirujący seks” regularnie zajmował pierwsze miejsce – konkurując o tę pozycję z „Elektronicznym mordercą”, czyli „Terminatorem”. W obu przypadkach widzowie zdecydowanie chętniej posługiwali się tytułem oryginalnym. Bo też słowo na „s” wywoływało zakłopotanie, czerwieniło czubki uszu – tym bardziej, że przecież chodziło o film, którego szczególnie zaangażowaną widownię stanowiły nieco starsze nastolatki. Ale może dystrybutor kinowy dał się porwać ekscytacji nowych czasów, w których tak wiele obiecywano sobie po wolnorynkowej Polsce. Wolnej również od cenzury – co oznaczało, że bez ogródek można, a wręcz trzeba było, obficie podlewać marketing skojarzeniami z seksem. Który to, jak głosiły pilnie studiowane przez ambitnych prywatnych przedsiębiorców podręczniki reklamy, miał sprzedawać. A przecież tu nie chodziło aż tak bardzo o seks (choć wzajemna fizyczna fascynacja głównych bohaterów ma owszem, niemałe znaczenie), a przede wszystkim o miłość, o romans porywający jak do tańca!

Plakat kinowy z 1989 roku autorstwa Mieczysława Wasilewskiego, utrzymany w typowym dla tego artysty minimalistycznym stylu, obiecuje rzeczywiście coś w rodzaju erotyku noir, a nie słonecznego, nostalgicznego „coming of age movie”. Trudno wyobrazić sobie pewnie dość zachowawczych, późnopeerelowskich rodziców, którzy pozwalają szesnastoletniej córce na takie seansy. Młodzież – w przeważającej części dziewczyny – wiedziały jednak swoje (w końcu „nikt nie będzie wysyłać Baby do kąta!”). Kto mógł, wrywał się do kina, choćby na wagary – a że prawie każda miejscowość w Polsce mogła pochwalić się wtedy własnym kinem, logistyka przedsięwzięcia nie należała do trudnych. Liczne miłośniczki Baby i Johnnynego przyznają, że były na seansie kilkanaście razy. To przedstawicielki pokolenia urodzonego w latach 70., które w nowej Polsce często wchodziły w dorosłość – jako absolwentki szkół średnich, studentki, czasem wkrótce młode mamy, wszystkie jednak łączyło wyraźne poczucie, że mają prawo marzyć.

Przełom dekad to już jednak czasy ekspansji kaset wideo, początkowo pirackich, później już oryginałów z wypożyczalni. W takim obiegu „Dirty Dancing” stawał się z kolejnym odtworzeniem filmem coraz bardziej kultowym, coraz silniej wzruszającym i napędzającym marzenia.

Dla wielu nostalgików, wspominających swoje pierwsze zetknięcie z tym filmem, kontakt nastąpił nie przez ekran kinowy, a przez telewizor w osiedlowym domu kultury czy w ośrodku wypoczynkowym. Kiepska jakość i mały format nie stanowiły żadnej przeszkody, a gotowość do oglądania ukochanego filmu po raz kolejny to najlepszy dowód na magię kina. Zwłaszcza, gdy sprzyjające wakacyjne okoliczności zachęcały – jeśli nie do spojrzenia na rówieśnika, jak w filmowej piosence, „głodnymi oczami”, to przynajmniej do nauczania się podstawowych kroków mambo.

Szczęśliwym dystrybutorem na polskie wypożyczalnie kaset video stała się firma VIM, która zaczynała – jak wielu innych – od niezupełnie legalnych wydań, w których dialogi tłumaczono ze słuchu i pospieszenie dogrywano ścieżkę dźwiękową, stopniowo zmieniając się w zupełnie standardowego przedstawiciela firm zagranicznych na Polskę. „Dirty Dancing” z 1992 roku to już nie partyzancka kopia z tytułem wypisanym długopisem. „Pierwszy taniec, pierwsza miłość, niepowtarzalne chwile życia”, głosi hasło promujące film. Nie to, żeby wymagał specjalnej promocji; jego popularność znakomicie utrzymywała się sama. To jeden z tytułów, który często widywałam w domowych wideotekach, czy to skopiowany z wypożyczonej taśmy, czy – już nieco później – nagrany z telewizji. Mógł bowiem zawsze liczyć na regularne odtwarzanie – jako film na gorszy humor, na spotkanie z koleżankami, na nudne popołudnie, do zjadania przekąsek po szkole. Nie stał się przy tym kultowym tytułem jednego pokolenia – córki „dziewczyn z wideoteki” często wciągały się same w miłość do ulubionego filmu ich mam.

Polskie grono fanek „Dirty Dancing”, któremu poświęcono zresztą już prace dyplomowe, to szczególnie fenomen. Aktywne w internecie, na grupach lokalnych, filmowych i poświęconych nostalgii, choć niekoniecznie są regularnymi kinomankami. Dzieli się wspomnieniami pierwszego seansu (czy licznych kolejnych), wrażeniem, jakie wywarł na nich Patrick Swayze, znajomością dialogów, licytują się, ile razy widziały film i wciąż im się on nie znudził. Jest coś porywającego w czytaniu ich wypowiedzi: za każdym razem towarzyszy im entuzjazm. Zza ekranu niemal słychać radosny chichot. Często tagując wzywają koleżanki – towarzyszki z kina i sprzed telewizora. Zupełnie jakby po raz pierwszy przeżywały „Time of my life”.

Olga Drenda